

PIOTR CZERWIŃSKI



PRZEBIEGUM



ŻYCIAŁE



Niniejsza **darmowa publikacja** zawiera jedynie fragment pełnej wersji całej publikacji.

Aby przeczytać ten tytuł w pełnej wersji [kliknij tutaj](#).

Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez NetPress Digital Sp. z o.o., operatora [sklepu na którym można nabyć niniejszy tytuł w pełnej wersji](#). Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody NetPress oraz wydawcy niniejszej publikacji. Zabrania się jej od-sprzedaży, zgodnie z [regulaminem serwisu](#).

Pełna wersja niniejszej publikacji jest do nabycia w sklepie internetowym [Salon Cyfrowych Publikacji ePartnerzy.com](#).

Redaktor prowadzący
Ewa Niepokólczycka

Redakcja techniczna
Lidia Lamparska

Korekta
Maciej Korbasiński
Bożenna Burzyńska

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne.
Jakiegolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych –
żyjących czy zmarłych – jest całkowicie przypadkowe.

Copyright © by Piotr Czerwiński, 2009

Copyright © by Świat Książki, 2009

Świat Książki
Warszawa 2009

Świat Książki Sp. z o.o.
ul. Rosoła 10, 02-786 Warszawa

Skład i łamanie
MAGiK

Przygotowanie
Fabryka Wyobraźni
ul. Bukowińska 22 lok. 12b, 02-703 Warszawa

ISBN 978-83-247-1951-8
Nr 45017

*Dla Daffy Ducka,
który może okazać się Twoim jedynym przyjacielem.*

Oraz dla Namboo, która okazała się moim.

Motto:

*Czasami twoja największa słabość jest twoją największą bronią,
a twoja największa broń – twoją największą słabością.*

Siema, good morning, afternoon oraz evening. Me emigrant. You emigrant? Me fucked up, my life fucked up. My English fucked up. This book fucked up, too.
You fucked up?

So funny, be fucked up like me.

Me emigrant, Kill Aleja Avenue Twelve Hundred Sree,
Dublin, Ireland.

True, true. Ta joj.

Ta książka jest pierdoliście very nice, optymistyczna i kulturalna, ale wam się może tak nie wydawać. Opowiada o dupiamaryni, jak wszystkie książki. Dupiamaryni stanowi sens życia oraz każdy ambitny kierunek w sztuce.

Prócz tego opowiada o turystach, ponieważ wszyscyśmy turyści i każdy podróżuje. Niektórzy nie wracają z podróży i to jest dokładnie taki rodzaj turystów, o których jest ta książka.

Ponadto opowiada o szaleństwie, too, bo tylko walnięci turyści kupują tickety w jedną stronę, tak jak my. Szaleństwo, tak myślę, to kinda największy sport dwudziestego pierwszego wieku.

Jednakowoż autor niniejszej książki poleca wam się nie przejmować. Od kiedy kupił swój ticket w jedną stronę, nie przejmuje się już niczym. Radzi więc, byście również się nie przejmowali, too. You comprende, rozumieci?

Opowie wam historię o Gustawie, dobrze zorganizowanym człowieku, który miał kinda sen i nie mógł mu się oprzeć. Wszyscy ludzie miewają sny i niektórzy nie mogą im się oprzeć, like for example Gustaw.

I tell you: ten, któremu odpierdala, będzie żył wiecznie. Powaga jest śmiertelna, a szaleństwo tworzy historię. Nie za-

uważyliście, że każda epokowa historia zaczęła się od szaleństwa?

True, true. Kto świruje, będzie wieczny. Pozostali niechaj udadzą się na drzewo.

I niech szlag trafi Dedala.

I podziękowania very bardzo dla słownika of Polish, który pomaga mi wyszukiwać te wszystkie trudne wyrazy, gdyż ponieważ ja tak trudnych słów już any more nie używam. I podziękowania dla Królowej. Angole w Anglii, to oni zawsze dziękują królowej. Ta książka mogłaby być o Anglii. Tam jest teraz kinda więcej fałszywych turystów niż gdziekolwiek indziej. Ale nie jest, ponieważ najprostsze pomysły wcale nie są takie znowu bardzo very. I podziękowania dla was. Ta książka mogłaby być o was, too.

A teraz let's go walniem kielona. Jest robota do zrobienia: książkę trzeba napisać. Kawał pisadła, immediately od zaraz.

A wy wszyscy, co myślicie, że walnięci turyści nie mogą pisać książek:

You koorva morons! I koorva hate you!

Ta joj.

Jam jest cham. Tak być musiało. Jam jest cham, a życie to jest cyrk.

Czasami tak myślę, że jestem postacią drugoplanową jakiegoś wyjątkowo głupiego filmu. Tyle prosiłem o zmiany w scenariuszu, bo inni, kinda jak ten porucznik Mc Lane, to mają takie ciekawe przygody, a mnie opisano w sposób karygodny. Dostałem tę rolę za karę albo co, a może po prostu nikt inny nie chciał jej zagrać. A może dlatego, że mój dziadek był nie w tej partii co trzeba, I don't koorva nie wiem. W dodatku facet, który mnie gra, dokłada starań, żeby wyjść na idiotę, i nawet nie mogę mu za to dać w zęby, chociaż bym very bardzo chciał. Autor przepadł gdzieś bez śladu i chyba nie dopisze zakończenia; bo to jest taki głupi film, że kinda musimy napisać je sami. I piszemy jakąś sakra ty vole groteskę.

Są takie chwile, kiedy zdaje mi się, że to wszystko nigdy się nie zaczęło i nigdy nie skończy, tylko trwa wiecznie. Mam wtedy żal do Tego, który wymyślił kino. Gdyby nie On, toby nie dzielono ról na ciekawe i kiepskie. W ogóle nie byłoby kłopotów.

Czasami rzeczywistość jest tak kompletnie wyfaczona i nierzeczywista, że myślę, że mnie nie ma i że to naprawdę film, że to jakaś wariacka kreskówka. Kiedy nikt mnie nie widzi, jestem postacią z kreskówki. Jak some kinda

fucking Reksio albo co. Kiedy sprawy mają się źle, uciekam do mojego ulubionego snu o mieście, które nigdy nie istniało. Moim tajnym rysunkowym mieście i jego mieszkańcach, fałszywych rysunkowych ludziach, którzy nigdy nie zrobią mi krzywdy. True.

Kiedy po raz pierwszy pomyślałem o sobie w ten sposób, był pierdoliście very nice Dzień Dziecka, a właściwie przepiękna noc, bo było ciemno. Pierwszy czerwca, wsiałem do autobusu. Długi, czerwono-błady sto siedemdziesiąt pięć, pusty i nudny, zupełnie jak ja, toczył się Nowym Światem, a ja napałem się tą pustką, nocą i nudą. To była nędzna scena, wiem, a ja byłem nędznym chamem. Siadłem więc na ostatnim miejscu i przyłożyłem czoło do rozedrganej szyby. I patrzyłem na migające rzędy świateł, i na łepetynę Kopernika, całą zasraną przez gołębie. I było jak w kreskówce. Wszystko jak zwariowana bajka, kręcona w plenerach, które nigdy nie istniały, i tylko mnie się to wydaje rzeczywiste. Bo ja w tej bajce gram.

– Przepraszam, przepraszam pana bardzo – wystękał do mnie dziadek, któremu upadła laska i w ostatniej chwili złapał się poręczy. Jego nogi i głos trzęsły się jednakowo. Ręce trzymał kurczowo zaciśnięte na metalowej rurce. – Przepraszam, czy pan wysiada przy Koperniku?

Byłem tanim chamem. Podniosłem głowę z podłą miną, jak wszystkie tanie chamy z wariackich kresówek.

– Nie – odpowiedziałem – to Kopernik przy mnie wysiada.

Bohaterem tej historii jest Gustaw, syn Grzegorza, z zawodu ekonomista, ponieważ tak mi się podoba. Podoba mi się, że Gustaw, i podoba mi się, że syn, a jak wam się nie podoba, to trudno.

I mean, sprawa wygląda tak: Gustaw był fajny, ale wyrzucili go z pracy. Nikt już nie lubi Gustawa. Gustaw nie jest fajny no more. Gustaw jest be. Nie potrzebował wiele, by przeskoczyć o jedną literę w alfabecie. Jego droga była równie krótka, tak samo prosta i jednakowo zauważalna; stał się Gustawem be z taką łatwością, że tylko naciśnięcie powrotnika w komputerze jest o ździebko little bit łatwiejsze. Zresztą jego kasacja tak mniej więcej wyglądała. Polegała na tym, że ktoś wcisnął prostokątny guzik, a z ekranu zniknął mały biały kwadrat. Biały kwadrat kinda symbolizował Gustawa w bazie danych. Printerka urodziła świadectwo pracy, również prostokątnego kształtu, następnie Gustaw i ten mister w żółtym krawacie, który wciskał guziki, złożyli swoje podpisy, przy czym Gustaw podpisywał się osobiście, zaś ten mister z upoważnienia. Był tylko trybem w maszynie, podobnie jak Gustaw. Obaj byli trybami i misterowi było głupio, że musi być motherfuckiem dla kogoś, kto mu nigdy nic nie zrobił i z kim się nawet nigdy wcześniej nie spotkał. Był kinda nowy w tej firmie i rozmawiał tylko z ludźmi, których wywalano.

– Przykro mi – powiedział mister, któremu tak naprawdę nie było przykro. Upoważniono go jednak do tego, więc za-

prosił Gustawa do szczęciennego pokoju i nacisnął prostokątny guzik. Głowę miał kinda kwadratową, żeby już wszystko oprócz trybów w tej historyjce kojarzyło się geometrycznie. Zwolning z pracy przypominał wyjście z pierdla. Mister w krawacie poprosił o zwrot karty do drzwi, karty do centrum medycznego, kluczyków do piwnicy i służbowego fiata pięćset, w którym przed tygodniem zarysowano prawe drzwi. Mister miał na imię Lech. Taki miał badge na kłacie, prostokątny oczywiście, przytwierdzony do żółtego krawata. Był to młody człowiek z odrutowaną szczęką. Na stu misterów w krawatach zawsze trafi się jeden, który ma taką. Próbował litościwie się uśmiechać nieświadomy, że odtąd wszyscy szczękoblaszakowcy będą kojarzyć się Gustawowi z disasterem.

Wręczył mu prostokątną kartkę, o której była wcześniej mowa, a także pamiątkowy tandetny zegarek, na którego cyferblacie widniało logo firmy. Dawano je wszystkim zwalnianym pracownikom, by nie zapomnieli, kto dokładnie ich wywalił, a także kiedy się to stało, bo na odwrocie grawer zadał sobie trud uwiecznienia dwóch dat, kinda podobnie jak robią to kamieniarze na grobach or something. To była dobra, polska firma, która zaczynała od zera. Skutecznie konkurowała z obcą konkurencją. Gustaw porzucił dla niej stołek dyrektora w międzynarodowym koncernie. To było półtora roku wcześniej.

W komplecie otrzymał też pudełko, do którego mógł zapakować swoje rzeczy tak, by nic po nim nie zostało. Oprócz dwóch temperówek, obtłuczonego kubka i ramki z familijnym zdjęciem znalazł się tam także kalendarz, który uwzględniał wszystkie ważniejsze meetingi, oprócz tego dzisiejszego, rzecz jasna.

Gustaw przyniósł cały ten stuff do pokoju, w którym siedział mister, i obojętnie spojrzął przez okno. W city of Warsaw była bardzo ładna pogoda. Taka, o której stare zgredy mówią, że jest ładna, kiedy nie mają sobie nic do powiedzenia, a chcą być kinda mili. Mister też chciał być miły, więc ponownie odsłonił pancerne zęby w żelaznym uśmiechu.

O' man, powiadają, że to ładnie się czasami uśmiechać, ale ja wam, koorva, mówię, ta chwila była dołująca i bez tej blachy w jego gębie, true.

– Ładna pogoda – powiedział, ponieważ nie miał nic do powiedzenia, i tak dalej.

– Dawno nie padało – odparł Gustaw, który nie miał, i tak dalej, too.

Następnie, by analogie z więzieniem były jeszcze wyraźniejsze, pan w koszuli wyciągnął rękę na pożegnanie, a potem nacisnął jeszcze inny kwadratowy guzik, dzięki któremu otworzyły się drzwi, przez które Gustaw wyszedł na korytarz, a stamtąd na wolność, gdzie dobry Good Lord własnoręcznie robi air condition, a i światło nad głową też pochodzi najprawdopodobniej od Niego.

W dawnych czasach z Gustawami bywało inaczej. Ich przemiany następowały w odwrotnym kierunku, a także były znacznie bardziej widowiskowe, zaś nawiedzeni melancholicy pisali o nich poematy. Właściwie nic nie stało na przeszkodzie, by proceder ten trwał dalej, ale ten Gustaw był krnąbrny i postawił się tradycji. Poza tym jego banalna, żenująca postać kompletnie nie nadawała się na bohatera eposów, podobnie jak sytuacja, w której się znalazł.

O takich ludziach i rzeczach można pisać wyłącznie bullshity.

Drzwi zamknęły się, elektryczny zamek wydał z siebie dyskretne bzyknięcie, pan w koszuli poszedł na coffee break, zegar wybił dwunastą, a hejnalista w radiu ją zatrąbił. Był kinda pierdolisty Dzień Dziecka, very nice, pogoda dalej była ładna; niebo nie zaszło chmurami ani nie waliły gromy. Pierwszy czerwca. Nic się przecież nie stało. Wszystko było as of old.

Gustaw wyrzucił pożegnalny zegarek do kosza i skasował numer telefonu prezesa ze swojej komórki. Poczul się tak,

jakby sam odtąd był Gustawem skasowanym. Miał kinda wrażenie, że jego umysł zachowuje się jak kubek z lemoniadą, do którego niesforne dziecko dmucha przez rurkę. True, true. W galarecie bąbelków gulgotała bezsilna wściekłość i niejasna obawa tego, czego jeszcze nie ma. Oraz próżna ulga, właściwa tylko urlopowiczom albo nałogowcom, którzy pobrali właśnie długo oczekiwaną dawkę swej uzależniającej substancji. Przez chwilę miał wrażenie, że cały świat jest skasowany razem z nim. Nie obowiązują żadne prawa i prawidłowości, czas kinda stanął w miejscu, a wszystko to, co Gustaw czuje i widzi, jest kompletnie out of date i niewarte uwagi. Udał się do skasowanego miasta, na skasowaną ulicę. Jego skasowane serce było pełne prawdziwej, skasowanej nadziei. Nogi same poniosły go przez tłum, ulica natomiast była w obie strony zakorkowana. O dwunastej piętnaście wtłoczył się do tramwaju, zapchanego ludźmi po sufit, i kinda popłynął w dal.

Pierwszy film przedstawiał wyjście robotników z fabryki. Jeśli wszystko pójdzie wedle kanonu, ostatni film zachodniej cywilizacji będzie opowiadał o zwolnieniu z pracy. Zagra w nim facet podobny do Gustawa, którego skasują w komputerze, a potem o dwunastej w południe rozplynie się wraz z tramwajem pełnym ludzi.

True, poznaliście Gustawa w wyjątkowo kiepskim momencie. Jego racja istnienia właśnie szła się pierdolić. Ale nie śmiejecie się z niego jeszcze. Niech się facet nacieszy życiem.

Pierwsze dwa tygodnie były rozkoszne, choć nudne, bo pierwsze dwa tygodnie kinda zawsze są takie. Pogoda ciągle była piękna, a Gustawowi wciąż się zdawało, że czas zatrzymano w miejscu. Obudził się o jedenastej i spłacił resztę kredytu, który nie pozwalał mu spać spokojnie od trzydziestu

jeden miesiąc. Za porozumieniem stron otrzymał bowiem zupełnie niezłą odprawę, całe siedem i pół tysiąca pee-elenów. Składał się na nią equivalent za niewykorzystane offy z trzech lat, zaległy bonus za nadgodziny w holideje państwowe (nadgodziny się mówi, prawda?) i cała czerwcowy wypłata z góry. Oprócz tego miał jeszcze następne dziesięć tysięcy oszczędności. Facet stracił robotę, ale czuł się filthy rich like talala. Siedemnaście i pół tysiąca, moi drodzy peepal. Pierdoliście lotsa kasa.

Jak to zwykle bywa w podbramkowych sytuacjach, nabrał chorobliwej siły i optymizmu. Kiedy wszedł do banku, poczuł się jak wielki mastah, chociaż pani z okienka starała się wprowadzić w jego życie jak najwięcej przygnębienia, true.

– Proszę spłacić i zwrócić kartę kredytową w przeciągu siedmiu dni.

Pani miała na imię Barbara. Taką miała badge na kłacie... i tak dalej.

– Spłaciłem już kartę – powiedział Gustaw.

– Więc proszę zwrócić w przeciągu siedmiu dni.

Była żywą niesprawiedliwością; jej pierdoliste waltersy były odwrotnie proporcjonalne do fizjonomii. Na sto Barbar zawsze trafi się jedna taka. Gustaw próbował być wesoły, chociaż pani nie okazała się very bardzo kompatybilna.

– Mogę zwrócić od zaraz. Nie muszę w przeciągu.

Karty kredytowe zabierano wszystkim ludziom, którzy stracili pracę, na wypadek gdyby zachciało im się wydać nieoddawalne pieniądze. Praca natychmiast dzwoniła gdzie trzeba, żeby uniknąć tej sytuacji, i nie inaczej było z pracą Gustawa, ale on nie przejmował się tym specjalnie bardzo very. Był przekonany, że kinda first of all, na jego koncie, na którym po raz pierwszy od lat figurowało dodatnie saldo, wciąż znajduje się okrągłe siedemnaście i pół tysiąca pee-elenów, a ponadto natychmiast dostanie propozycję kolejnego zatrudnienia. Wszyscy znajomi, których wyrzucano, prędzej czy później tak właśnie oznajmiali.

– Natychmiast dostałem propozycję.

Gustaw uważał więc, że w jego przypadku stanie się dokładnie tak samo i że już wkrótce ten zenujący przymusowy urlop dobiegnie końca i potencjalni chlebobdawcy będą błagali go, by stawiał się do pracy właśnie u nich.

Miał czterdzieści lat, em-be-a zarobione w Szkole Handlowej i piętnaście lat stażu. Jego *przebiegum życiae*, bo tak je nazywał, nie mieściło się na dwu stonach maszynopisu. True, true. Jego żona miała doktorat z ekonomii, dwie szafy beznadziejnie drogich żakietów i jeździła seatem toledo, który był własnością Gustawa. On zasadniczo wolal tramwaje, bo firma, w której pracował, nie miała carparku i musiałby płacić za miejsce na ulicy. Shit happens in the city of Warshaw. Mieli dziewięćdziesiąt metrów kwadratowych w apartamentowcu, kupionych na spółkę. Ich dwie córki, między którymi był rok różnicy w sensie metrykalnym, uczęszczały do prywatnego gimnazjum. Jego samoocena była zawsze wysoka, a życie zawsze poukładane jak pseudochińska gładzura w ich ubikacji. Kinda uważał, że doskonale mu idzie. Był z niego gość. Wyszedł więc na słońce, własnoręcznie nakręcane przez Wszehmogącego, i poprawiając krawat, który wymusza dystyngowaną sylwetkę nawet na zatwardziały fiejach, uśmiechał się niezdarne do ludzi, or kinda nawet do samego siebie. Kiedy jadł ciastko francuskie w Daily Cafe opodal kina Relax, przez chwilę wydawało mu się nawet, że wszyscy dookoła poszturchują się i mówią ściszonymi głosami:

– Popatrz tylko. Jaki z niego gość. Już niedługo dostanie propozycję. Doskonale mu dzisiaj idzie.

Uznał więc, że skoro wszyscy już wiedzą, co się święci, należy uśmiechać się jeszcze bardziej panoramicznie, a także mieć gest, jak przystało na człowieka, któremu wszystko udaje się jak z płatka. Gustaw zostawił więc dwa złote tipu i napuszony opuścił lokal, potykając się niezdarne o blaszane krzeselko w gardenie. Może wam to psuje efekt, ale jemu –

nigdy w życiu. W tym ostatnim najważniejsza jest bowiem idiotyczna wiara w siebie.

Czemu go zwolnili? Przypadkiem. A bo to trzeba jakiegoś konkretnego powodu, żeby wywalić człowieka z pracy?

Przypadek miał dwadzieścia trzy lata i nosił imię Gracjan. Pochodził z jakiejś zapadłej wiochy na południu kraju i był dokładnie taki, jak się nazywał. Oprócz postrzępionego hair-styla miał kolczyk w nosie oraz modne buty z trzema paskami, które kinda wyglądały, jakby były sportowe, choć ich przeznaczenie chciało inaczej. Rzadko kiedy stały w miejscu, ponieważ ich właściciel ciągle podrygiwał, żując gumę, zupełnie jakby mechanika jego szczęki wprawiała w drgania całe ciało. Kombinacja ta od początku miała w sobie coś pozwalającego przypuszczać, że Gracjan i Gustaw kinda nie zostaną wiernymi friendami. Co prawda znane są historie o takiej for example fraternizacji psów z fauną lżejszego kalibru, obawiam się jednak, że chodzi w nich jednak o zwierzęta rasowe, true.

Cechował go także niepohamowany syndrom shitholu, z którego przybył; zdawało się, że każda minuta spędzona przez Gracjana w stolicy służy wyłącznie zrobieniu kariery. Starał się ją robić tak jak większość Gracjanów, kinda histerycznie atakując każdego, kto wyprzedzał go w jakiegokolwiek hierarchii, a jednocześnie był w niej na tyle nieistotny, by nie móc przydać się w tak zwanej przyszłości.

– Jak tu brudno – rzekł na przywitanie, gdy po raz pierwszy w życiu przekraczał próg gabinetu Gustawa. – Gdyby tu byli *mes amis parisiennes*, spaliłbym się towarzysko.

Gustaw, który nigdy nie był w Paryżu, zaprotestował nieśmiało, mówiąc, że firma planuje nową aranżację wnętrza, po czym wyciągnął do Gracjana prawą rękę. Jego nowy asystent, który między nami frankly mówiąc, również nigdy nie widział Paryża na oczy ani nie miał tam żadnych znajomych,

odwrócił się na pięcie i zaczął rozpakowywać plecak, z którego wyjął ramkę ze zdjęciami rodziców, młodszej siostry i psa. Wszyscy oni kinda zostali w pipidówku.

Ludzie w pipidówkach są naprawdę fajni. Nie ponoszą winy za to, że raz na jakiś czas ktoś spośród nich wyjedzie do Warszawy i zostanie sakra ty vole świnią.

W zasadzie finał tego romansu był ordynarnie przewidywalny. Nim nastąpił, zdarzyła się krótka seria nerwicogenych sytuacji; trzaskano drzwiami podczas ważnych biznes meetingsów, przypadkiem wyrzucano papiery i stawiano na biurkach puste flaszki po boozie. Gustaw nigdy dotąd nie miał asystenta. Sądził, że taka jest natura rzeczy i że każdy był kiedyś młody, a następnie mu przeszło. Spędził w tej branży piętnaście lat, miał genialne referencje, był nie do ruszenia. Doskonale mu szło. Był z niego gość. Nie przejmował się więc Gracjanem very bardzo, podobnie jak wszystkimi pozostałymi friendami z pracy. Niestety, Gracjan wciąż przejmował się Gustawem. Uznawszy, że jego czas już nadchodzi, kinda urządził Gustawowi sąd ostateczny, w wyniku czego drugie śniadanie, które jedli tego ranka, było dla Gustawa śniadaniem ostatnim.

– Ty jesteś Gustaw? – spytał z niewinną miną, upewniwszy się, że słyszą go wszyscy uczestnicy zebrania, na którym scena miała miejsce.

Od rana w budynku panowało niezdrowe poruszenie, true.

– Tak – odrzekł Gustaw i nie rozwijał zdania. I bez tego biblijność tej sytuacji wydawała mu się złowieszcza.

– Czy to ścierwo przyszło z twojego adresu? – zakrzyknął Gracjan, machając w powietrzu plikiem zadrukowanych kartek.

Szesnastu klonów w żółtych krawatach patrzyło z rozdziawionymi gębami w kierunku Gustawa.

– Skądże znowu. A co to takiego? I dlaczego szanowny kolega pyta? – Gustaw kinda również zaczął z lekka rozdziawiać gębę, too. Faktycznie, since od kiedy przyszedł do pracy, gapili się na niego co najmniej dziwnie.

– To po prostu skandal! – Gracjan aż zapiszczał w uniesieniu. Zapukał palcem w górny róg kartki: – Oczywiście, że z twojego! Proszę, proszę – tu przerwał i odegrał scenę przełykania śliny przez ściśnięte gardło, następnie rozdał najbliższym siedzącym klonom po egzemplarzu. – Może jestem młody, ale nie dam się tak załatwić – kontynuował, genialnie grając roztrzęsienie. – Nie pozwolę, żeby stary beton nie dawał szansy młodym! Nie pozwolę! Nie po to się uczę, nie po to moi rodzice obalali komunizm, nie po to, żeby taki beton nie dawał mi szansy!

Następnie zrobił wredną minę, like, z rozwartymi nozdrzami. Na stu Gracjanów zawsze trafi się jeden, który robi taką. Klony czytały, kiwając głowami, i patrzyły na Gustawa z politowaniem. Tak mu kiepsko szło tego dnia. Już nie był z niego gość. Gustaw, który wciąż kompletnie nie rozumiał, co jest przedmiotem rozterek jego asystenta, również nie był very bardzo najszcześliwszy. Patrzył na nich wszystkich wytrzeszczonymi oczyma, a ciśnienie krwi wzrosło mu tak gwałtownie, że miał wrażenie, jakby kinda serce pulsowało w przełyku.

Kartka zawierała wydruk e-maila, wysłanego do centrali spółki. Wynikało z niego, że Gracjan nie ma żadnych kwalifikacji, nie rokuje nadziei na przyszłość, a także najprawdopodobniej jest zakaźnie chory na wyjątkowo nieprzyzwoitą chorobę, co powinno natychmiast zaowocować usunięciem go z tej instytucji. Adres nadawcy jednoznacznie wskazywał na Gustawa. True, true. Gdyby posłuchał zakładowego informatyka i zabezpieczył komputer hasłem, życie byłoby znacznie piękniejsze. Ale spróbujmy go rozgrzeszyć. Dotąd siedział w pokoju sam. I nigdy wcześniej nie miał asystenta.

Nie ma sensu budować grafomańskiej dramaturgii i streszczać wszystkich następných zdarzeń. Pampers załadował go w trąbę. Gustaw, jeszcze o tym nie wiedząc, przestał mieć genialne referencje, a natychmiast potem posadę. Zlikwidowano department, prowadzony przez Gustawa, uznając go za niepoprawnie archaiczną jednostkę. Gracjan natomiast dostał jego etat, jego biurko oraz jego wspomniany już komputer, wypełniając tym samym w całości jego świat. Taka karma, life is koopa. Moja tragedia jest twoją ulgą. Upadek jednego człowieka bywa odkupieniem stu innych.

Pierdolista historia, nie? Chociaż strasznie banalna. Dzisiaj trudno o niebanalne historie. Niemniej miną setki lat, dziura ozonowa kinda usmaży pół globu, wielka fala zaleje drugą połowę, a Gracjan będzie wiecznie żywy. True, true. W ostatecznym rozrachunku to zawsze on będzie przejmować wasze etaty.

Ta joj.

Minęło dwadzieścia siedem dni i półtora tysiąca peelenów. Gustaw był dobry dla żony, true. Wstawał o siódmej i wiół ją do pracy. Nadeszły wakacje, ale nie wiedzieć czemu Świętokrzyska wciąż była zakorkowana, just like podobnie inne ulice, którymi zwykł przejeżdżać, a w zasadzie przesuwac się z prędkością ośmiu kilometrów na godzinę. Czasy, gdy można było przejechać przez Warszawę w ciągu osiemnastu minut, już na zawsze odeszły do historii, a przynajmniej zrobiły to do czasu kolejnej wojny światowej, bo tylko ona mogłaby w tej materii jeszcze cokolwiek zmienić. Wojny zawsze zmieniały dużo w tym mieście, a było ich kinda od pyty.

Przez otwarte okno kupował od ulicznego sprzedawcy gazetę, a kiedy za półtorej godziny był znowu w domu, siadał do Internetu, kopiował list motywacyjny i załączał swoje le-



I tell you, emigracja jest jak skok na główkę do zimnej wody. Drzesz się jak noworodek, marzniesz jak mrożonka, i rodzisz się-umierasz-rodzisz się-umierasz dwadzieścia razy. (...) I zaciskasz oczy i pięści, tak mocno, że boli cię głowa, like jakby miała eksplodować. I desperacko próbujesz utrzymać się na powierzchni, więc machasz rękami jak najęty, kinda spalając pięćset milionów kalorii na sekundę. Jest szansa, że nie pójdziesz na dno i że w końcu zrobi się ciepłej; ale nigdy nie wiadomo. (...) A ludzie naokoło kinda mają cię w dupie, bo albo czują się już dobrze w tej zimnej wodzie, albo krzyczą i zmagają się tak samo jak ty, a ty wiesz, co to znaczy zbliżyć się do kogoś, kto tonie.

I tell you, kinda po stokroć pierdolisty fun, emigracja.



Napisana polsko-angielskim żargonem historia dwóch pozornie różnych Polaków, którzy za chlebem wyjechali do Irlandii. Pracują w dublińskiej fabryce, ich zajęcie jest tak ogłupiające, że aby nie oszaleć, uciekają w surrealistyczny świat kreskówek, muzyki i fantazji o powrocie Małego Księcia.

Oszalamiająca mieszanka klimatów z Vonneguta i Kafki.



www.swiatksiazki.pl



Niniejsza **darmowa publikacja** zawiera jedynie fragment pełnej wersji całej publikacji.

Aby przeczytać ten tytuł w pełnej wersji [kliknij tutaj](#).

Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez NetPress Digital Sp. z o.o., operatora [sklepu na którym można nabyć niniejszy tytuł w pełnej wersji](#). Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody NetPress oraz wydawcy niniejszej publikacji. Zabrania się jej od-sprzedaży, zgodnie z [regulaminem serwisu](#).

Pełna wersja niniejszej publikacji jest do nabycia w sklepie internetowym [Salon Cyfrowych Publikacji ePartnerzy.com](#).